

# z TEATRU

## Obrazki obyczajowe

**T**EATR DRAMATYCZNY WARSZAWY wystawił na swej malutkiej **SALI PRÓB** premierę „GRUPY LAOKOONA” **TADEUSZA ROZEWICZA** w reżyserii **W. LASKOWSKIEJ** i scenografii **A. SADOWSKIEGO**.

Tym razem nie postąpiono jak przy poprzedniej sztuce tegoż autora — „Kartotece”, gdy przy krótki na nasze przyawyczenia teatralne tekst rozepchano wstawkami z jego wierszy. Wybrano lepszą drogę. Skoro tekstu nie wystarcza na 2 czy 3 godziny — dane po prostu krótkie, półtoragodzinne przedstawienie, tak jak to niedawno uczyniono w innym teatrze warszawskim z inną sztuką polskiego autora. Mam oczywiście na myśli „Lai, znaczą jaśmin” Zawieyskiego w Kameralnym. Zda się, że za każdym razem widzowie bynajmniej nie protestowali przeciw takiemu ograniczeniu im uczty. Długotrwałość przycięcia niekoniecznie stanowi o jego sile.

„Grupa Laokoona” jest właściwie komedią obyczajową z życia współczesnych humanistów, naszpikowana dowcipami w stylu studentencko-sztubackim, którym niekiedy nie gardził Gałczyński, a rozwija zawzięcie Mrozek. Takie zaszerogowanie utworu może zmniejszyć rozczarowania niektórych, oczekujących od Różewicza po „Kartotece” utworu głębszego. Ależ panowie! Czy poeta musi obowiązkowo za każdym razem wypowiadać siebie do dna? Czy nie wolno mu trochę poigrać podpatrzonymi sytuacjami i podsłuchanymi powiedzunkami? Dyskwalifikowanie „Grupy Laokoona” jako artystycz-

nego kroku wstecz jest równie apodyktyczne, jak w swoim czasie windowanie „Kartoteki” nie wiadomo jak wysoko.

Istotnie „Kartoteka”, w której autor mówił głównie o swoim pokoleniu, była przybrana w kształt sceniczny bolesną liryczną wypowiedzią. Kto zna poezję Różewicza, wie w jakim stopniu była scenicznym rozwinięciem jego znanych motywów, z tym, że w niejednym z wierszy osiągał większą kondensację ładunku dramatycznego.

Ale przecież Różewicz ma także wiersze lżejsze — drwiące, kpiarskie. Z tego zasobu mógł stworzyć swoją, jak powiedziałem komedię, która jest czymś nie tyle słabszym od „Kartoteki”, co po prostu różnym.

Inna sprawa, czy tym samym powstało widowisko teatralne o zdecydowanej kompozycji? Raczej nie. Otrzymałobyśmy fugę obrazów i wypowiedzi, które mają w sobie coś ze zlepkę skeczów, natomiast węzeł dramatyczny jest dość luźny. Nie jest to ani tradycyjny teatr w stylu od Zapolskiej do Kohouta, ani przekorny teatr w stylu od Witkacego do Ionesco, lecz po prostu bukietek drwin z gupstw, jakich pełno w życiu.

Perypetie głównego bohatera, czyli to, jak może powinna się noga człowiekowi z natury bardzo pokornemu, a ściślej jak może mu się wydać, że powinna mu się noga, zacleraja się wobec szeregu anegdot włożonych w usta bohaterów, które się trwale zapamięta, niż ich losy.

Aktorzy wywiązywali się z zadań na ogół niezłe, a niektórzy bardzo dobrze. **BOLESŁAW PLOTNICKI** jako Ojciec był precyzyjny w rysowaniu zablakanego humanisty. **HELENA BYSTRZANOWSKA** jako Matka podpatrzyła dobrze cechy współczesnej kurki domowej, która operuje ze względów towarzyskich terminami naukowymi. **JERZY KARASZKIEWICZ** grał bardzo dobrze i prawdziwie Syna, choć reżyser zupełnie niepotrzebnie zmuszał go do gimnastyki na drabinie bibliotecznej. **ALEKSANDER DZWONKOWSKI** był kapitalnym Dziadkiem, a **JANUSZ PALUSZKIEWICZ** Ordynatorem. Trudno pominąć **LUCZYCKĄ** jako Przyjaciółkę i trudno zapomnieć **PAKA** i **WYSZYŃSKIEGO** jako Celników.

Wydaje się jednak, że pewne udziwnienia reżyserskie, a także scenograficzne, jak kwiatki rosnące z ludzi, niczem owa pelargonia z ucha „Tatusia” Gałczyńskiego, traciły wbytnim pomaganiem tekstowi, który bez tych protez byłby może bardziej jednoznacznie bezpretensjonalny.

JERZY ZAGÓRSKI